

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

9

— Więc jest i drugi oskarżony?

— Jest.

— Działali może wspólnie?

— Wykluczone. Ci ludzie się nawet nie znają.

I Byrd opowiedział szczegółowo fakta, rzucające podejrzenie na osobę Cyryla Morgan, a fakta te, jak wiadomo, były natury bardzo obciążającej.

Nigdy jeszcze, przez całe drugie lata swojego urzędowania, pan Ferris nie znajdował się w tak dziwnym i kłopotliwym położeniu.

— Panowie — wyrzekł po długiej chwili milczenia — nie będę przed wami ukrywał, że wiadomości przez was przyniesione są najwyższej wagi. Należy jednak nad tem wszystkim zastanowić się na zimno i nie działać lekkomyślnie. Powróćcie do mnie jutro, a powiem wam o postanowieniu, jakie w tym kierunku powziąłem.

Nazajutrz, kiedy obaj detektywi stawili się w jego gabinecie, pan Ferris odezwał się do nich w te słowa:

— Zastanawiałem się głęboko noc całą nad faktami, które przez was, moi panowie, doszły do mojej wiadomości, a które w równej mierze oskarżają pana Cyryla Morgan, jak i pana Gordona Hildretha. Otóż, rezultat mojej refleksji jest ten, że dowody obciążające siostrzeńca pani Clemmens wykazują brak poważny, co nie ma miejsca w zastosowaniu ich do osoby obecnego oskarżonego.

Wiadomo panom zapewne, że wdowa Clemmens, po napadzie już, w chwili odzyskanej przytomności umysłu wymówiła pewne słowa, mogące być wskazówką dla nas. Powtarzała bezustannie: „ręka, pierścień“, tak, jak gdyby wpoić chciała w obecnych przekonanie, że ten, który ją zamordował, nosił pierścień na palcu. Aby się uspokoić co do tego punktu, zaaranżowałem dziś rano próbę w Białym Domku, która powinna była mnie dostatecznie objaśnić. Stałem w jadalnym pokoju przed zegarem pani Clemmens w tej pozycji, w jakiej była zapewne zmarła w chwili dokonanego na nią napadu, poprosiłem mojego pisarza, aby wziął polano drzewa i zasymulował gest uderzenia mnie z tyłu. W chwili, kiedy opuszczał ramię, odwróciłem lekko głowę i zdałem sobie sprawę, że jedyną częścią widzialną jego ciała w tej pozycji była ręka. Otrzymałem również bardzo jasne wrażenie z błysku pierścienia, który mu kazałem wsunąć na palec. Pan Hildreth, jak nam już wiadomo, miał zwyczaj nosić na palcu pierścień herbowy. Sam uznał ten fakt za kompromitujący, bo widziano, jak w sali, podczas rozprawy, pierścień ten ściągnął z ręki. Czy panowie przekonali się, że fakt ten dotyczyć również może pana Morgan?

Hickory wzruszył lekko ramionami z miną zawstydzoną i niezadowoloną.

— Pan prokurator, o ile mi się zdaje, zapomina o pierścieniu, znalezionym przezemnie w jadalnym pokoju pani Clemmens? — zauważył Byrd.

— Wcale nie! — odparł trochę gwałtownie pan Ferris — Ale miss Beatrycza Darnell oznajmiła kategorycznie, że ten pierścień do niej należy, a ja nie mam powodu wątpić w jej słowa. Jeżeli mnie pan potrafi przekonać, że pan Morgan miał ten pierścień na palcu, kiedy wchodził do Białego Domku, co zresztą nie jest jeszcze dowiedzione, to może zmienię dotychczasowe przekonanie. Dotąd jednak uważam stanowczo pana Gordona Hildretha za mordercę pani Clemmens.

Byrd, który nie chciał jeszcze wyjawić prokuratorowi zajścia w szopie węglarzy, nie nalegał więcej. Wiedząc jednak, że Hickory gorąco pragnął wykazać i poprzeć siłą swoich argumentów — spojrzął na niego z zaniepokojeniem, obawiając się, że się zdradzi. Ale detektyw, dotrzymując danego przyrzeczenia, nie wymówił słowa.

Obydwaj zabierali się już do odejścia, kiedy zapukano do drzwi. Do gabinetu wszedł policyant i podał list prokuratorowi. Ta mała przerwa pozwoliła Byrdowi zamienić z Hickorym kilka słów na osobności.

— Co pan myśli o rozumowaniu prokuratora? — zapytał przyciszonym głosem.

— Zdaje mi się, że on ma słuszość.

— Ale zachowanie się miss Darnell? Jej słowa?

— Widocznie uważa Morgana za winnego. Ale to jeszcze nie dowód, żeby się nie myliła.

Musieli przerwać rozmowę, bo prokurator, ukończywszy czytanie listu, zwrócił się do nich, mówiąc z żywym roztargnieniem:

— Doprawdy, tą dziwną sprawą kieruje jakiś niewytłumaczony zbieg okoliczności. Zaledwie wypowiedziałem swoje zdanie o braku pewnych dowodów względem nowego oskarżonego, a już ktoś usłużny brak ten chce wypełnić. Czytajcie panowie! — mówiąc to, podał Byrdowi list, zawierający następujące słowa:

— Jeżeli pan Ferris chce poznać prawdę, jeżeli uznaje, że pozory są czasem bardzo mylne, to niech zapyta miss Beatryczę Darnell, dlaczego uznała za swoją własność pierścień, znaleziony w jadalnym pokoju Białego Domku.

— No i cóż panowie na to mówicie? — zapytał prokurator, bystro patrząc na detektywów.

— To robota tej starej Sally Perkins. — zaopiniował niechętnie Hickory.

— Oczywiście. — potwierdził Byrd z pewną ulgą. — Ta stara czarownica niecierpliwi się powolnością policyi.

Ale pan Ferris nie był tego zdania.

— To nie są wyrażenia kobiety z ludu. — rzekł, głęboko zamyślony — Zresztą, skąd wiedziałaby o wypadku z tym pierścieniem? Osoby, będące świadkami tego zajścia, nie należą do tych, które plotkować lubią bezcelowo.

— A więc. zdaniem pana prokuratora, kto może być autorem tego listu? — zapytał Byrd.

— Właśnie liczyłem na to, że pan mi tę zagadkę wytłumaczy.

Nagle Hickory ujął list, porzucony na biurku i przeczytał go raz jeszcze uważnie.

— Zdaje mi się — zawołał uradowany — że wiem, przez kogo ten anonim napisany został.

— Doprawdy? Któż to jest?

Detektyw nie odpowiedział, tylko wskazał palcem nazwisko, wymienione w liście.

— Przez miss Darnell? — zawołał z niedowierzaniem pan Ferris.

— Tak jest, przez miss Darnell — przyswiadczył pewnym głosem Hickory.

— Co pana naprowadziło na to odkrycie?

— Miałem już w rękach listy miss Darnell i mogłem zaobserwować sposób, w jaki nakreśliła swoje imię. W tym wypadku bardzo zrećnie zmieniła pismo, ale zdradziła się, pisząc imię swoje „Beatrycza“. Proszę, niech pan prokurator zechce porównać — dodał Hickory, wyciągając z portfela ćwiartkę papieru, na której skreślonych było kilka wyrazów wraz z podpisem „Beatrycza“.

Podobieństwo uderzało w oczy. Pomimo nieprawdopodobieństwa tego faktu, prokurator i Byrd musieli przyznać słuszość wywodom detektywa.

— Ciekawa rzecz! — szepnął pan Ferris, zamyślając się. — Sprawa, zamiast się wyjaśniać, zaciemnia się coraz bardziej.

Ale Byrd i Hickory nie dzielili zdania prokuratora. Przypuszczali, że młoda dziewczyna chwyciła się tego środka, doprowadzona do ostateczności wyrzutami sumienia i śmiertelnym niepokojem o Gordona Hildretha, niesłusznie oskarżonego, a o którego usiłowanem samobójstwie musiała się dowiedzieć z miejscowych dzienników.

Kryzys.

Od dnia, w którym pani Clemmens zginęła tak tragiczną śmiercią, adwokat Ormond nie zaznał ani chwili spokoju. Dnie całe trawił na rozmyślaniu nad szczególnym zachowaniem się Beatryczy Darnell, którego absolutnie zrozumieć nie mógł. Wyjaśnienia, jakie mu w tym względzie dała młoda dziewczyna, nie zadowoliły go zupełnie.

— Ten pierścień!... Szczególniej ten pierścień — myślał. — Jakież powód popchnął ją do powiedzenia, że jest jej własnością?!

Pan Ormond, dręczony i coraz bardziej niespokojny, postanawiał kilkakrotnie rozmówić się otwarcie ze swoją pupilką. Wolał najgorzej ostateczność od tego drażniącego stanu niepewności i braku obopólnego zaufania, stawiającego coraz większy rozdział pomiędzy nimi.

Beatrycza jednakże stawiała się z dniem każdym mniej skłonna do zwierzeń, unikała nawet spotkania z nim, jak gdyby w obawie, że będzie zmuszoną podzielić się silnymi niepokojami, jakie ją dręczyły.

Nieobecność młodej dziewczyny w dniu burzy podnieciła jeszcze rozdrażnienie pana Ormonda. Spozstrzegł w niej bowiem od tej chwili objawy jakiejś gorączkowej niecierpliwości, tak, jak gdyby była w bezustannym oczekiwaniu ważnej bardzo dla siebie wiadomości.

W ów wieczór usiłowanego samobójstwa Gordona Hildretha Ormond wszedł do pokoju, w którym znajdowała się miss Darnell.

— Przynoszę wiadomość, która zapewne zainte-

resuje cię, Beatryczo — rzekł z punktu. — Morderca pani Clemmens powiesił się dzisiaj.

Twarz młodej dziewczyny przybrała trapi odcień, i ręce jej zacisnęły się kurczowo na poręczu fotelu, w którym siedziała. Ale ani jedno słowo nie wybiegło z jej ust pobladłych. Można było powiedzieć, że spodziewała się czegoś podobnego.

Uczucie gorzkiej zazdrości przeszło serce pana Ormonda.

— Wiadomość ta, jak widzę, nie zaskoczyła cię wcale — rzekł zduszonym głosem. — Wiedziałaś więc wszystko, co się tyczyło tego człowieka? Kochałaś go może?

Ale na te pytania nie było żadnej odpowiedzi.

Pan Ormond rozparzliwym ruchem ujął głowę w dłonie. Czuł jakiś ogień, rozsadzający mu czaszkę.

— Odpowiedz, Beatryczo! — podjął po chwili, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem. — Czy znałaś tego Gordona Hildretha?

— Gordona Hildretha? — powtórzyła młoda dziewczyna ze zdumieniem. — Pan mówił o Gordonie Hildreth? Nie, nie! To niemożliwe! Prawda, że to niemożliwe, żeby on sobie życie odbierał? To musi być pomyłka!

Gorzki uśmiech wykrzywił twarz adwokata.

— A o kimże chciałaś, żebyś mówił? — zawołał brutalnie. — Kogóż to innego oskarżają o zamordowanie pani Clemmens? Co się z tobą dzieje, Beatryczo? Czyś zmysły straciła?

— Tak, tak! Jestem szalona! — zawołała młoda dziewczyna, odwracając głowę. — Niech pan nie zwraca uwagi na moje słowa! Kiedyż to się stało?

Ale zanim pan Ormond mógł odpowiedzieć na to pytanie, zwróciła ku niemu twarz, zmienioną rozpaczliwą grozą i wyszeptała zamierającym głosem:

— Czy... czy on umarł?

— Nie, nie umarł — brzmiała twarda odpowiedź. — Przeniesiono go do szpitala w stanie bardzo poważnym, ale mówią, że żyć będzie.

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu! — powtórzyła dwukrotnie miss Darnell.

Po chwili milczenia nagle wstała z fotelu.

— Co ci jest, Beatryczo? — zapytał pan Ormond, przestraszony dzikim wyrazem postanowienia, który objął jej rysy. — Czy chora jesteś? Gdzie chcesz się teraz udać?

— Proszę mnie o to nie pytać, bo nie umiałabym panu na to odpowiedzieć. To, co teraz uczynić muszę, nie ma nazwy w żadnym języku. Co zaś do pana, mój kuzynie, staraj się uczynić wszystko możliwe, aby panu Hildreth jak najspieszniej wolność przywrócić. On nie popełnił tej zbrodni, o którą go oskarżają. Jest niewinny i nie mógł przenieść okropnego oskarżenia, jakie na niego spadło. Jeżeli umrze, a stać się to może, jeżeli mu nie zwrócą wolności, to stanie się rzecz straszna, hańbiąca, zbrodnia, za którą inni odpowiedzą!

— Ależ, Beatryczo!

— Ah! Niechże pan nie dyskutuje teraz ze mną! Tu chodzi o śmierć lub życie, rozumie pan? — zawołała gorączkowo młoda dziewczyna. — Wiem, co mi pan na to odpowie, jakich argumentów użyje, aby mnie przekonać, że to rzecz niemożliwa, że niema sposobu na uwolnienie oskarżonego, którego niewinność nie jest poparta dowodami, że musi być jawnie wykazana. Ale dla adwokata z pana inteligencją niema rzeczy niemożliwych. Muszą się do tego znaleźć środki! Niech pan użyje swojej władzy, swojej powagi, co pan chce! W zamian zaś...

Tu młoda dziewczyna przerwała, długim spojrzeniem obejmując pana Ormonda, który w tej samej chwili znalazł się blisko niej.

— W zamian zaś?... — powtórzył, gwałtownie ujmując jej ręce. — Dlaczego nie kończysz, Beatryczo? W zamian zaś?...

— Przystanę na to, czego pan żądał odemnie — odpowiedziała miss Darnell zmęczonym głosem.

— Więc będziesz moją żoną?

— Tak... o ile nie umrę przedtem jeszcze.

Pan Ormond cofnął się, jak gdyby otrzymał policzek.

— Więc do tego stopnia kochasz tego człowieka, że chcesz się sprzedać w zamian za jego życie? — zapytał z gorzką wymówką w głosie.

Beatrycza podniosła gwałtownie głowę, chcąc wyrzucić oburzone „nie!“, cisnące jej się przez usta, lecz zdołała się opanować i powstrzymała od wymówienia tego słowa.

— Nie mogę panu na to odpowiedzieć — odrzekła stanowczo.

Pan Ormond, czując już teraz po swojej stronie zwycięstwo, nie chciał się zadowolić tą odpowiedzią.

— Żądam jasnego wytłumaczenia, Beatryczo — rzekł rozkazująco. — Mam prawo poznać uczucia twoje i zachować się stosownie do nich. Tak, czy nie? Kochasz Gordona Hildretha? Odpowiadaj szczerze!